

PROSIL WYCIEKAŁ
CBIWIE





SYLWIA PUCHALIK

KOSOWSKIE IMPRESJE

Impresja I

Zima. Drogowskaz – „Tirana” (chyba coś około 100 km stąd). Koniec świata...

Wokoło góry całkiem sympatyczne. Jezdnia mniej. Pełno dziur, wyrw. Trzeba uważać, żeby nie urwać fragmentów podwozia. I camp. Trochę baraków ogrodzonych kolczastym drutem. A dokładniej: workami z piaskiem, a na nich dopiero ten kolczasty drut. Trzy wieżyczki wartownicze, żwir, betonowe płyty, szlaban i dwa maszty z białą-czerwoną i niebieską flagą. Na horyzoncie góra przykryta czapą śniegu. Nieco bliżej niższe wzniesienie, z którego nocą błyskają światła niemieckiego KFOR-u.

Miasto. Kurz i pył unoszący się w powietrzu. I brud oblepiający rzeczywistość. Owoce wysypujące się na bruk. Kolorowy, hałaśliwy tłum. Mężczyźni w białych, filcowych denkach na głowach. Śniade, osłonięte zarostem ciemnoookie twarze. Tureckie kobiety w białych chustach na głowach i szerokich spodniach z krokiem w okolicy kostek. Albo inna staruszka ze swego rodzaju tiurniurą na pośladkach, idzie zgięta w pół. Pod nogami skudłacone, przetrącone losem i spotkaniem z człowiekiem psy, grzebią w stertach przesypanych wiatrem śmieci. Ludzie w mundurach: KFOR-u, policji z całego świata - biali czarni, śniadzi, w niebieskich beretach i z niebieską plakietką na rękawie. Dalej spłaszczone dachy meczetów z wysmukłymi minaretami i rozlegającym się zawodzeniem muezinów, które ma nawoływać do modłów. Połacie mięsa zawieszane na hakach. Zwoje ciemnej kiełbasy wędzonej tumanami kurzu unoszącymi się spod kół przejeżdżających samochodów. Średniowieczne mury górujące nad miastem i kamienny most z opancerzonymi samochodami. Po drugiej stronie rzeki kafejki, urokliwe zaułki.

Noc. Ludzie stojący rzędem pod ścianą z dłońmi opartymi o mur, nogi szeroko rozstawione. Obok inni w mundurach. Błyskają światła coca-coli. Jest godzina

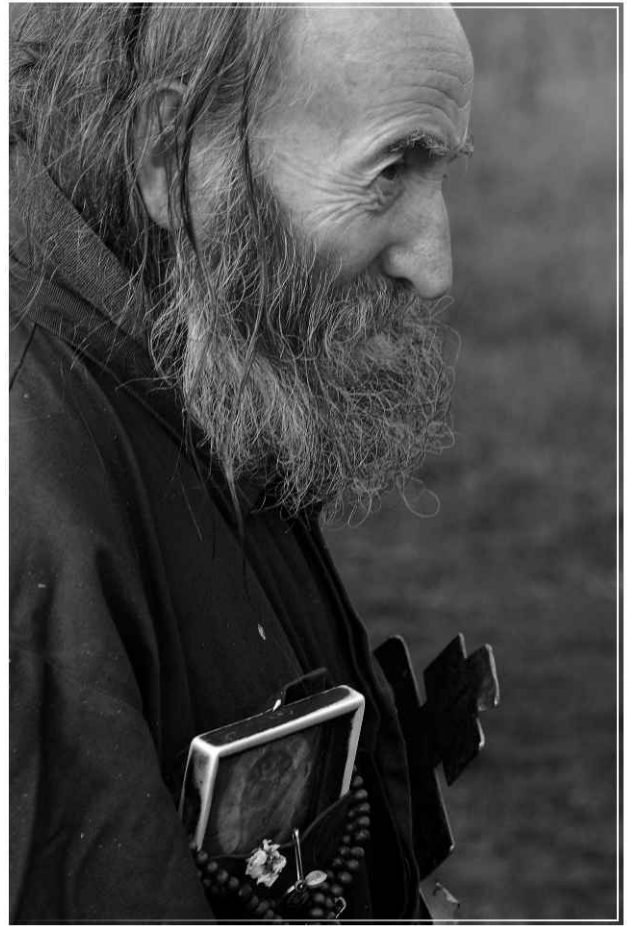
zakazana. Police! Open the door! Odgłos sypiącego się szkła kruszonego taranem. Przerażone oczy kobiet, wyrwanych ze snu dzieci. Płaczące się wyrostki. Płacz i krzyki. Gumowe rękawiczki na dłoniach lekarza. Nadbiegający z ciężką, metalową walizką pielęgniarz. Pies patrzący beznamiętnym wzrokiem - bo to kolejny raz. Barwne dywany zabłocone grudkami wilgotnej ziemi, która przywarła do ciężkich butów. Drewniane kolby karabinów z napisem „1933 r.". Puste magazynki tetetek. Pokój mężczyzn. Popalone dokumenty w stojącym na środku piecu. Fotografie na ścianach. Boazeria. Wejście na strych. Rozrzucane ciuchy, przewracana pościel. Dużo pościeli. Zasnuty grysik na talerzu, gąsiorek z rakiją. Przed chwilą odstawiona szklanka i pranie schnące na sznurze. Błyskające w ciemności oczy kota i wykrzywiona obórka. Znowu kawalkada samochodów i kajdanki na przegubach rąk. Wrogie spojrzenia i bosa stopy.

Góry. Bogate, z szaroburymi kępami drzew jak kuleczkami rzepów, opasane drutem z napisem „miny”. Ostre zakręty i znowu wyrwy w jezdni. Albańczyk stojący na czatach, palący od niechcenia papierosa, bystro omiatający wzrokiem przejeżdżające samochody. Krowy z załajnijonymi bokami, zaprzężone do drewnianych wozów, z jeszcze bardziej drewnianymi kołami. Kolorowo, ale wszystko oblepione szarością. Spopielale barwy, tak jakby życie zastygło, napiętnowało i krajobraz i twarze ludzi. Przydrożne groby z wykutymi w granicie twarzami. Otulone jarmarczonymi, okropnymi, sztucznymi kwiatami, złożonymi tam gdzie padli. Kolejny zakręt i check-point. Tym razem progi zwalniające, wieżyczka wartownika osłonięta szarpaną przez wiatr pałatką i kłęby drutów kolczastych. Pusto, tylko ściany zburzonego domu świadczą, że był tu ktoś jeszcze oprócz żołnierzy. ID i białą samochód z literami UN jako przepustka. Okruchy zsuwających się skalnych odłamków, kolejny ślad po wyrwanym kawałku asfaltu. Najeżone roślinnością wzgórza i góry. W zagłębie-

niach śnieg, cienie jaskiń. Niżej strumień, kawałek świeżej, zielonej trawy. Jakaś owca, jakaś koza i obszarpani pasterze. Leżące szkielety krów. I znowu tabliczka: „miny”. Potem znak dawnej „światłości” stary, dobry, olbrzymi, trochę straszący architekturą dom wczasowy z czasów Tito, z obdrapaną elewacją, lekko przesłonięty drzewami. Kolejni żołnierze. Jakiś zniszczony, rozwalony nie wiadomo jak i dlaczego dom. Gdzie indziej same fundamenty i zapomniana piwniczka. Podrapane kawałki betonu. Serpentyny i poczucie, że jest tak bezpiecznie i swojsko. Bo jest opoka, bo jest dusząca, zmieniająca odcienie szarości mgła, że nawet nie wiadomo gdzie znikają szczyty gór i czy w ogóle są. Pustka. Płasko aż po horyzont. Kałuże i zarośnięte rowy z dającym do myślenia zapachem. Co jakiś czas fragmenty sierści zmieszanej z zaschniętą krwią i niekształconymi pyskami psów czy kotów. Rozpruty pociskiem dach jakiejś fabryki. Krążące stada: wron? gawronów? W każdym razie czarnych ptaków, szukających przekąski na największym wysypisku śmieci świata. Wiatr porywając kawałki nie wiadomo czego, odsłania kolejne warstwy dna. W tle nowe bloki i nagle tęcza. Bliska i wyraźna. Smog tak wysoko nie sięga.

„Tygrys”. Samotny, zapomniany czołg stojący na zboczu. Pnące się w górę wąskie, strome wertepy udające drogę, giną pomiędzy zapadającymi się w ziemię domami. Zieleni drzew przetykana czerwienią dachówki. Osiołek na sznurku skubiący zapomniane żdźbła trawy na przyzmię gliny. Przyjaźnie uśmiechnięci ludzie zaglądający przez szybę samochodu. Dzieci ufnie podbiegające z wyciągniętą ręką. Biały kamień maleńkiej cerkwi. Ikona z ocalałymi ze zgliszczy monasteru oczami, dłonią i spisаныmi świętymi strofami.

Słońce. Ostre, odbijające się od tafli jeziora. Pagórki jakby trochę niższe Bezludnie. Jeszcze jedna kolejka samochodów czekających na przepustkę przez check-point. Cerkiew - ale zamiast popa - stacja KFOR-u. I wszędzie wokół znajomy widok ludzi w mundurach. Opierają się o pancerze, dłonią obojętnie odsuwają lufę karabinu, by przypalić papierosa. Amerykańskie, francuskie, włoskie, polskie i inne znaczki na ręka-



Tomaz Młynarczyk

wach. Wieża Babel. Ale uzbrojona po zęby, w nakrapianym mundurze, hełmie i osłonięta kamizelką kuloodporną. Jeszcze stoi. Na przekór górcom, tęczom, słońcu i tym, którzy tu zostali.

Impresja II

Macedonia. Opuszki palców wysunięte przez zakratowane okno samochodu głaszczą rozżarzone powietrze. Asphalt wiję się pomiędzy ścianami gór jak pijany zaskroniec. Z zieleni drzew wyrastają gdzieniegdzie szaro-twarde skały i pasiaste kominy. Dymią intensywnie uzasadniając swoje istnienie. Długa kolumna ciężarówec wolno posuwa się ku granicy. Ostre słońce znika w nagłym tunelu. W dole zapomniane tory kolejowe. Na zboczach mini-domki z miniaturowymi warzywniakami. Jasny kamień wiekowych mostów prowadzących donikąd, przeplata się z białymi

betonowymi cembrowinami ustawionymi na przekór, między zwałami ziemi. Za nimi kryją się żołnierze z pomarańczowo-czerwoną flagą na hełmie. Zakaz fotografovania. Obiekt wojskowy.

Skopje. Ulice zatłoczone samochodami z istniejących i z zapomnianych krajów świata. Jadowicie fioletowe i te z emblematem CD. Uśmiechnięci ludzie siedząc w wiklinowych fotelach popijają kawę i piwo. Nobliwy mężczyzna, z zarostem przyprószonym siwizną kupuje „burek”. Dziewczyna z wiolonczelą przewieszoną przez ramię szybkim krokiem przemierza ulicę. Kobieta z głową szczerlnie otuloną białą chustką przytrzymuje rozchylany wiatrem szary, długi do kostek płaszcz. Gorliwi, śniadzi chłopcy polerują szyby samochodów z niepewnością czekając na zapłatę. Smukłe wieże meczetów sąsiadują z kopułami cerkwi na tle „wzgórza miłości”. Spaliny owiewają długonogie dziewczyny w minispódniczkach i różowe pięty niemowląt trzymany na ręku. Ponure betonowe wieżowce mieszają się ze spadzistymi dachami nowoczesnych bloków z czerwonej cegły. Obok radośnie żółci się budynek Holiday Inn. Most przetrzucony nad mętną, burą wodą prowadzi do krętych, kamiennych uliczek, pełnych sklepów i gwaru. Czerwone autobusy z dawnych lat, ciężko sapiąc przemierzają kolejne skrzyżowania. Na miastem popielate mury stoją nieporuszenie od lat.

Kosowo. Sznur samochodów miesza się z furmankami wypełnionymi ludźmi, jadącymi „na słowo honoru” pseudo-tractorami i zapachem burzy w powietrzu. Granitowy pomnik „ku chwale” z dumnie powiewającą czerwoną flagą z czarnym ptakiem, sąsiaduje z budką pełną hamburgerów. Za każdym zakrętem „autolarje” sklecone na przedce. Porzucone wraki samochodów. Zarośnięty niepamięcią przydrożny cmentarz.

Stałowa szyna udaje zwalniający próg. Boczna droga. Słonecznie żółta łąka. Pełnący ufnie środkiem drogi żółw. Przemykające pastelowo-zielone jaszczurki odrzucające z przerażenia ogon, krwawią. Stado pasących się niewyznaczonych krów. Rdzawe listki poziomek na zboczu. Spiętrzone wody weekendowego wypoczynku. Ruda ziemia w skalnym załomie. Zielone -

prawie jak nad Soliną wzgórze.

Mitrovica. Pilnie strzeżony most niezgody spowity kolczastym drutem. Uroda kobiet wskazująca jego stronę. Niemieckie marki i serbskie dinary. Biała bułka i ciemny chleb. Bregovic i hity Eurowizji. Gęstniejący, wrogi tłum.

Nowoczesne butiki i obskurne budki z pestkami dyni. Zielone kamienice z białą lamówką, mieszkania w wysokich blokach ogrzewanych „kozą” i ruiny cygańskiej dzielnicy. Konwój wiernych zmierzających do cerkwi stojącej po niewłaściwej stronie. Wschód słońca w Małej Bośni i przetrzucane worki mąki. Biała smuga na czarnym mundurze i węszący pies. Kolejny dom i cherlawy mężczyzna trzymający skute kajdankami ręce, pod narzuconym na ramiona płaszczem. Szerokie schody prowadzą do górniczego wagonika monstrualnych rozmiarów. Wyżej ruiny twierdzy pamiętającej czasy współistnienia - bez wszechobecnych uniformów, karabinów, opancerzonych samochodów, agresywnej nienawiści i obcych - na tej ziemi...

Impresja III

Rytm dnia wyznaczony godzinami posiłków: 7:00, 12:30, 18:00. 115 ludzi. Mali i duzi. Biali i czarni. Faceci i baba. Starsi i młodszy. Chudzi i grubi. Z przerostem mięśni i ze sflaczałymi brzuchami. Łysi i bujnymi czuprynymi. Wytatuowani i zakolczykowani. Flegmatycy, sangwinicy, melancholicy i cholerycy. W czarnych uniformach z niebieską plaketką na rękawie i równie niebieskim beretem. Na pagonach belki, gwiazdki i szaszłyki. Czarne kamizelki kuloodporne, na nie siatkowe ze schowkami na wszystkie możliwe akcesoria. Przewieszona długa broń i czarny lub z niebieskim pokrowcem hełm. Albo w białych kaskach, z tarczami, pałami i ochraniaczami na wszystkich możliwych kończynach. Potykając się biegną do białych samochodów z czarnymi literami UN. Kolejny wyjazd.

Przemieszczają się niemrawo pomiędzy pięcioma jednakowymi barakami, na przestrzeni ograniczonej kolczastym drutem i trzema wieżyczkami wartowniczymi. Turlają się po śniegu. Podnoszą ciężary. Wcinają

odżywkę. Palą papierosy, wrzucając pety do niebieskich puszek po oleju. Stoją w kolejce po kolejną porcję zapychacza żołądków. Zbierają się w grupkach, żeby ponarzekać. Kolejny problem? - przecież trzeba mieć, o czym pogadać. Żywe gesty i śmiech. Czasem zacięte lub znudzone miny. Wszechobecne fotografie najbliższych. Zdobywcze plakietki z mundurów innych formacji. Plakaty. Wypatrzone w „PX-e” wieże. Przyczepione do blaszanych ścian baraków satelity. Zamykające się oczy przy kolejnym filmie oglądanym piąty raz. Okruchy suchych porcji na biurku. Czas podzielony między: sen, pisanie listów, łapanie sieci komórkowych i wysyłanie sms-ów, spotkania, oglądanie telewizji, surfowanie po internecie, siłownię, książkę, muzykę, wygłupy, opalanie i wyjazdy do miasta. I marzenia... o nowych samochodach, podróżach, o rodzinie, o... I jeszcze większa tęsknota. Zarwane noce niezbędnymi akcjami i niepotrzebnymi alarmami. Kolejna warta, kolejna akcja. Czas! Czas! Czas! Zbyt wolno... Odliczanie dni do kolejnego urlopu. Do przyścia kolejnego listu. Do kolejnego zadania. Do posiłku. Do przeprowadzki. Do kolejnej spalonej stacji policyjnej. Do kolejnego meczu. Kolejnego przeszukania. Zapada noc i pozorna cisza. Jasne okno oficera dyżurnego. Chrząst żwiru pod stopami wartownika. Ćmy krążące pod światłem latarni. Odległe wycie psów. Minał kolejny dzień. Jaki będzie następny? 7:00, 12:30, 18:00.

Impresja IV

Niedziela. Krople deszczu żłobią wzory w zakurzonej szybie samochodu. Opadają na pobocze, gdzie złote dziurawce pochylają się nad radośnie czerwonymi makami, a osty zerkają modrymi kwiatami. Rozczochrane zagony kukurydzy beztriosko falują na wietrze. Czerwone paliki wytyczają bezpieczną ścieżkę życia wśród min. Ukryte zakole rzeki zdradza nagie pośladki zażywających kąpiele. Brogi i kopy siana wśród pól. Łany nagle dojrzałego zboża. Sterty nawozu o zapachu niezależnym od wyznania i kraju. Sroka huśtająca się na wiotkiej gałęzi. Chłopcy beztriosko kopiący

piłkę między workami piasku na check-poincie. Gdyby nie oni, roslaby złuda: góry i wioski, kopki siana i błyskające ostrze kosy, potoki i pasące się krowy - nasze, swojskie, polskie!!!

Przełęcz. Piękno gór wzbudzające pokorę. Serpentyny drogi wijącej się wokół pagórków leżących jak podkulone nogi Albańczyka, w stożkowatej czapce na głowie. Monastyr chroniony pięścią i kulą, kryje widoczne z oddali czarne habity. Biała, smukła wieża meczetu odbija się od ceglanych murów. Pomarańczowe kombinezony i stopy min wyszarpięte ziemi. Szkielety nie wiadomo czy wznoszonych, czy burzonych domów. Spalone dachy. Pojedynczy żołnierz stojący wzdłuż drogi, czekający na bezpieczny konwój. I ci siedzący w wieżyczkach czołgów, schowani za lufą karabinu maszynowego.

Wesele. Kawalkady samochodów - od yugo po mercedesa - kipiące ludzką radością. Świątecznie przystrojone dziewczyny, wysuwając się przez otwarte dachy i opuszczone szyby, klaskają do rytmu w dłonie.



📷 Tomasz Młynarczyk



📷 Tomasz Młynarczyk

Między smukłymi palcami przytrzymują lekko strzępy tkanin. Krwistoczerwona flaga z dwugłowym czarnym orłem, wskazuje nowy początek. Wycieraczki oplecione kolorowymi, frotowymi ręcznikami furkoczącymi na wietrze. Zgiełk i wrzawa. Muzyka zmieszana z okrzykami, śmiechem, śpiewem i rykiem klaksonów. Akcja. Pasiaste, jak rozdęte, zielone stonki kule arbuźów, uwięzione w kojcach. Łany słoneczników złocistsze niż u van Gogha, biegnące po horyzont. Smętne muczenie krowy dobiegające z pseudoobórki, domaga się porannego udoju. Stara, skrzywiona starością kobieta w obszernych spodniach, siada w szerokim rozkroku popijając smolistą kawę. Chuda dziewczynka z brązowymi, sterczącymi niesfornie włosami, przy-

gląda się ciekawie tabunowi uzbrojonych ludzi w czarnym moro. Dżgane na wylot, cał po cału siano, zebrane w stos. Badane wykrywaczem metalu krzaki. Otwierane majzlem drzwi scanii, kryją kolejna tetetkę. Metodycznie. krok za krokiem. zbliża się kolejny wczesny i długi ranek.

Kosowo, jak nasz zminiaturyzowany świat. Bez dostępu do morza, za to z górami, chmurami, jeziorami i dolinami. Malowniczymi przełęczami i rwącymi potokami. Gdzie jednym językiem - angielskim - mówią ludzie o wszystkich możliwych odciśnięciach skóry, pochodzący z każdego możliwego zakątka globu. Gdzie ludzie wierzą w to samo, ale inaczej. Gdzie przeżywają radość, szczęście - ale też ból, rozpacz i cierpienie. Gdzie walczą ze sobą i się kochają. Gdzie śmieją się i płaczą. Gdzie podają dłoń i wbijają nóż. Gdzie rodzą się i umierają, a w każdym z nich jest to, co żyje w każdym z nas: i dobro i zło; i miłość i nienawiść; i radość życia i smutek śmierci; i szarość i blask.

Zamknięci na pokładzie arki, nad którym wiecznie krąży gołębica. Miniatura świata jak cierń tkwiąca w zamkniętych dłoniach, nie wiadomo, którego Boga.

Impresja V

Bośnia. Smutno i deszczowo. Drzewa powoli ubierają jesienne liście. Gęsto rozsypane wapienne skały pasą się na łące, jak poszarzałe baranki. Wyskubują żdźbła lichej trawy spomiędzy krzaków jałowca i kolczastych krzewów, z karminowymi kuleczkami owoców. Na szmaragdowej wodzie zakola rzeki, ręka olbrzyma ustawiła bezludną wysepkę jesiennej barwy. Tkwi w niej, jak przypadkowo wrzucony do kałuży kamień. Wyżej samotne, zagubione między pagórkami ruiny domów, szukają schronienia w resztkach sadów. Straszą martwymi oknami. Kilkugrobowe cmentarze ostatniej wojny przytulają się do przedmieść, lasów i poboczy dróg.

Domy. Ściany poranione pociskami. Ślady jak po bakaliach wydłubanych zakalcowatego ciasta. Zadrapania przysłania gdzieniegdzie gipsowy opatrunek. Na piętrach pozbawionych okien i drzwi, rozciągnięte sznury pełne wilgotnego prania. Na parterze zielona pałatka udająca szybę, zaznacza, że

dom żyje. W innym, białe brody rogatych kóz wychylają się spomiędzy zielonych krzewów, powojennych lokatorów zburzonych domów. Kryją się przed deszczem. Granica państwa. Kontener strażnicy. Celnik zaprasza na kawę do przydrożnej kafejki. A potem ziemia niczyja. Bezludna. Droga ginie za zakrętem i pojawia się ponownie za kolejnym. Jakby błędziła, pokonując z wysiłkiem kolejne wzniesienie. Wyżej. Jeszcze wyżej.

Czarnogóra. Potężne iglaki pokrywają wysokie góry. Nad drogą zwisają skały, jak zwiłokrotnie okazy minerałów, z dającymi się odróżnić tkwieniami w gronach pojedynczymi kamieniami. Jak fragmentami bryły wielkiej soli. Kamienna ściana otulona ledwo widoczną pajęczyną siatki. Ukryte w krzakach ciemne oko tunelu prowadzi z litej skały wprost do strumienia. Strzeliste świerki oddalonej przełęczy, unoszą gałęzie jak w tańcu. Zastygły, jak spódnice gigantycznych baletnic. Przydrożne drzewa założyły ciężkie peleryny dzikiego wina i bluszczu. Dorodne kapelusze grzybów brązowią się na skraju lasu. Spadzista ścieżka nieśmiało zaprasza do jego wnętrza. Za kolejnym zakrętem drogi, znienacka, pojawia się biała, samotna świątynia. Odbija się od ciemnozielonej, prawie czarnej ściany lasu, przykrytej mgłą, jak strzępami cukrowej waty. Kamiennie mury starannie oddzielają sąsiednie pastwiska. I konie, pasące się w lepkiej mżawce.

Zapada mrok w długich, żłobionych we mgle tunelach. Reflektory po omacku szukają mokrego asfaltu bałkańskich dróg. Już bezpiecznych, prowadzących do zwykłego, spokojnego, zapełnionego codziennością życia.

Impresja VI

Strbce. Zaciszny zakątek Kosowa. Czas zamarł jak posypany zaczarowanym proszkiem przeszłości. Dolina leniwie tętni życiem. Samochody ze wspomnieniem tłumika, zatrzymują się przy każdym napotkanym znajomym. Mijają łaciate, opancerzone pojazdy i te, zaprzężone w rogatę krowy. Przydrożne kafejki wabią grzaną rakiją i chłodnym piwem. Budki pełne drobia-

zgów, zachęcają drewnianym, zanurzonym w bursztynowym trunku krzyżem. Ręcznie malowane twarze Świętych na szklanych butelkach, zdają się uświęcać ich zawartość. Niedzielnie ubrani ludzie, obarczeni słodkim brzemieniem ciast i tortów, dołączają do grupki weselników. Echo radosnych śpiewów odbija się od jeszcze zielonych wzniesień. Od górskiego grzbietu przypominającego skórę ropuchy. Od pachnących owoców jałowca. Od wapiennych skał.

Słońce. Ostre, ślizga się po złotych liściach jesiennych drzew. Przebijają przejrzyste powietrze. Delikatnie laskocze miedziane kępy traw. Barwy jesieni pełne ciepła, otuliły drogę wspinającą się wśród wysokich gór. Coraz wyżej. Wąskie kaskady, lekko spienionej górskiej wody, pluskają się po krągłych kamieniach strumieni. Kopuły cerkwi rysują się miękko na tle jasnego nieba. O bliskiej przeszłości przypominają spalone dachy letniskowych domów. Sterczą czarniawe kominy, okopcone dymem. Im wyżej, tym ściana koloru staje się coraz bardziej zielona. Opadające liście przegrywają z zahartowanymi zimnem szpilkami drzew.

Psy. Szaro-beżowe, kudłate, kaprawymi oczami bez entuzjazmu spoglądają na intruzów. Puste ścieżki prowadzą szlakiem narciarskich wyciągów. Pozornie nieruchome krzeselka kolejek, lekko drżą na wietrze. Sople i okruchy lodu, wesoło mrugają spomiędzy kamieni. Lekko zamglone górskie pasma falują jak spokojne, granatowe morze. Sięgają nieskazitelnie niebieskiego nieba na horyzoncie.

Ścieżka. Prowadzi przez stromą lawinę rzuconych kamieni. Między granitowymi głazami, unoszą się wysepki przesiąkniętego wilgocią mchu. Niewidoczny potok bulgocze pod nimi jak wrząca woda. Wypływa zamrożoną strugą w ocienioną kotlinę. Zardzewiałe wagoniki kolejki kryją puste, plastikowe butelki po spragnionych i kawałki szkła.

Domy. Czerwień dachówki i biel ścian chronią wznoszące się dokoła górskie szczyty. Zostały daleko. Gdzieś tam, w dole. Zagubione, ale bezpieczne. Z poszarzałymi kopami siana na polach. Z kozami wyskubującymi źdźbła z żywopłotu. Z kwiczeniem warchlaka, bezdusznie wleczonego na

powrozie; oplątującym nogę. Z polanami wrzucanymi beładnie na wóz. Pulsują życiem, które zastężyło.

Impresja VII

Ostatnie dni. Pełne płatków śniegu migoczących w świetle latarni. Przyprószyły wszystko: pobocza pełne śmieci; stojący przy drodze auto-pjese, z wrakami samochodów i górami opon; ledwie wzniesione mury domów z czerwonej cegły; nieśmiały dym z komina; cmentarze z białymi nagrobkami, które odróżnić teraz można od morza białości, po czerwonych flagach z dwugłowym orłem. Strzeliste wieże meczetów, jak gigantyczne pociski, zlewają się z równie białym tłem. Stojące obok kopki i brogi siana, założyły białe czapy. Niebo równie mglisto-białe, ponure i smutne. Jak szklana kula, w której gdy potrząsniesz, zakwita biały śnieg. Opada i spowija wszystko lekką mgiełką zapomnienia.

Droga. Część dziur gdzieś znikła, wyrównana stolnicą asfaltu. Wyrósł zagajnik zabudowań. Przytłoczyły swoją ilością spalone dachy domów. Mimo prószonego śniegu, ręce robotnika chwytają kolejną deskę wciągana na wznoszone właśnie piętro.

Lotnisko. Nożyczki do paznokci wędrują do kosza na śmieci. Wprawne dłonie dokładnie przetrząsają bagaż. Bramka piszcząc reaguje na klamry pasków. Czekać na samolot. Ostatnia kawa z mlekiem. Nad głową obrazy bożonarodzeniowych tele-dysków. Merry Christmas! Biała i wietrzna płyta lotniska nie zachęca do pozostania na dłużej. Przez okrągłe szyby widać jeszcze znajome budynki. Szybko znikają pochłonięte mroźnym powietrzem.

Wszystkie obrazy powoli odchodzą w przeszłość. Wkrótce będą już tylko zamazanymi wspomnieniami. I tymi dobrymi i tymi złymi. Jak kolejna cegła w murze życia, pozostaną na zawsze. Coraz bledsze...



ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI

europa europa

pamiętacie eschatologiczną przypowieść
Boscha
tysiące ulic pnących się groźnie w
pionie
tymi ulicami przechodzą nowe
pokolenia
zostawiają na parterze tradycje
błogosławieństwo rodziców
dziecinne modlitwy
pamięć umarłych
hieroglify wiary
carte blanche otwiera wszystkie piętra
rozkoszy
trzeba żyć do samego końca pusto
ostro i drapieźnie
życie jest warte i nic niewarte
wieczność ostatnie piętro ocalenia
doszedłem donikąd
mimo wszystko
idę wciąż na nieznaną szczyt
z chorym sumieniem
by dotknąć brzegu ostateczności

przesłanie

otwórz się całym sobą
nie jesteś z pokolenia głuchych i
niemych
na piękno rzeźbione przez wiatr i deszcz
powtórzone w gwiazdach witrażach
aniołów
patrz uważnie
łąki inkrustowane śmiechem kaczeńców
wyspały się gromadnie
duchy przebudzone błyskawicą
przesuwają w dżdżu płataninę leśnych
ścieżek
którędy iść
czarne koguty pieją złowieszczo na
pożar
nietrzeźwe ślady kłusowników krwią
broczą
światło rzeźbi coraz głębsze wąwozy
pełne ciężkich westchnień
spójrz uważnie
stoisz pośrodku najpiękniejszej katedry
tu się zaczyna i kończy chwila
uniesienia
dźwięk i szept miesza się w gęstość barw
wszystkie odrzwia pór roku są twoje